

O KURTZU

Rozmowa z Rosjaninem

Spotkanie tych ludzi było nieuniknione jak zetknięcie się dwóch okrętów ogarniętych ciszą, burta w burcie, i ocierających się w końcu o siebie. Kurtz potrzebował, widać, słuchacza, bo wiem, że przy pewnej okazji rozmawiali przez całą noc, rozłożywszy się obozem w lesie; a właściwie pewnie sam Kurtz tylko mówił.

— Rozmawialiśmy o wszystkim — rzekł jego wielbiciel, porwany tym wspomnieniem. — Zapomniałem, że sen w ogóle istnieje. Miałem wrażenie, że ta noc nie trwała i godziny. O wszystkim! O wszystkim!... A także i o miłości.

— Ach, więc mówił z panem o miłości! — rzekłem, mocno tym ubawiony.

— Nie tak, jak pan myśli! — wykrzyknął prawie namiętnie. — Mówił o miłości w ogóle. Odstąpił przede mną takie rzeczy — takie rzeczy... Podniósł gwałtownie ramiona. Byliśmy wówczas na pokładzie i starszy wśród moich drwali, który się wałęsał w pobliżu, zwrócił na niego ociężałe, błyszczące oczy. Rozejrzałem się i nie wiem dlaczego, ale doprawdy nigdy, nigdy jeszcze ten kraj, ta rzeka, ta dżungla, nawet sklepienie tego jaśniejącego nieba nie wydały mi się tak beznadziejne i tak ponure, tak nieprzeniknione dla ludzkiej myśli, tak bezlitosne dla ludzkiej słabości.

— I odtąd, naturalnie, był pan z nim ciągle razem — rzekłem.

Okazało się, że nie. Stosunki ich ulegały częstym przerwom z wielu powodów. Pielęgnował Kurtza, jak mi oświadczył z dumą, podczas dwóch chorób (wspominał o tym, niby o ryzykownym jakimś czynie), ale zazwyczaj Kurtz wędrował sam, daleko w głąb lasów.

— Przychodziłem tu często na stację i nieraz musiałem czekać wiele dni, zanim się zjawił — opowiadał. — Ach, warto było czekać! — niekiedy.

— A co Kurtz robił? Badał okolice czy co? — zapytałem.

— O tak, naturalnie — Kurtz odkrył bardzo wiele wsi, a także jezioro — wielbiciel jego nie wiedział dokładnie, w jakim kierunku — niebezpiecznie było zanadto się dopytywać — ale w tych wyprawach chodziło mu przeważnie o kość słoniową.

— Przecież nie miał już wówczas towarów do handlu — wtrąciłem.

— Spora ilość naboju została po dziś dzień jeszcze — odpowiedział nie patrząc mi w oczy.

— Mówiąc bez ogródek, kupił po prostu kraj — rzekłem. Tamten skinął głową. — Z pewnością nie sam jeden! — Mruknął coś w odpowiedzi o wsiach wokół tego jeziora. — Kurtz namówił tamte plemiona, aby szły za nim, prawda? — poddałem. Poruszył się niespokojnie.

— Oni go ubóstwiali — rzekł.

Ton jego słów był taki nadzwyczajny, że popatrzyłem na niego badawczo. Zaciekało mię, z jaką skwapliwością, a zarazem rezerwą mówił o Kurtzu. Ten człowiek wypełniał jego życie, zaprzętał jego myśli, rządził jego wzruszeniami.

— Czemu pan się tak dziwi? — wybuchnął. — Przybył do nich z gromem i błyskawicą, rozumie pan — nigdy w życiu czegoś podobnego nie widzieli — i wzbudził w nich okrutny strach. On potrafi być bardzo straszny. Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka. Nigdy w życiu. Otóż... niech tam, powiem to, żeby panu dać o nim wyobrażenie: raz to i mnie chciał zastrzelić — ale ja go sądzić nie będę.

— Zastrzelić pana! — wykrzyknąłem. — I za co?

— Miałem tam trochę kości słoniowej, którą mi dał naczelnik tej wsi koło mego domku. Widzi pan, strzelałem dla nich zwierzynek. No więc Kurtzowi zachciało się tej kości słoniowej i nie dał sobie przemówić do rozsądku. Oświadczył, że mię zastrzeli, jeśli mu tych kłów nie dam i nie wyniosę się potem z kraju; że mnie zastrzeli, bo może to zrobić i ma na to ochotę, i nic go na świecie nie powstrzyma od zabicia, kogo mu się żywnie podoba. To była prawda. Dałem mu tę kość słoniową. Cóż mi tam na niej zależało! Ale się nie wyniosłem. O nie! Nie mogłem go opuścić. Musiałem naturalnie być ostrożny, pókiśmy się znowu na pewien czas nie zaprzyjaźnili. Chorował właśnie wtedy po raz drugi. Potem trzeba było znów schodzić mu z oczu, ale nic sobie z tego nie robiłem. Mieszkał w tych wsiach nad jeziorem. Kiedy przychodził nad rzekę, to czasem mnie lubił, a czasem lepiej się było pilnować. Ten człowiek za wiele cierpiał. Nienawidził tego wszystkiego i jakoś nie mógł tego porzucić. Kiedy mi się trafiała sposobność, prosiłem go, żeby rzucił to wszystko, póki jeszcze czas; proponowałem, że wrócę z nim razem. Mówił: dobrze, a potem zostawał; wyruszał znów na poszukiwanie kości słoniowej; zniknął na całe tygodnie; zapamiętywał się wśród tych ludzi — zapamiętywał się — rozumie pan.

— Przecież to wariat — rzekłem.

Zaprzeczył mi z oburzeniem. Gdzieżby Kurtz mógł być wariatem. Gdybym go słyszał mówiącego jeszcze przed dwoma dniami, nie śmiałybym napomykać o czymś podobnym...

[...]Rosjanin wyjaśniał w dalszym ciągu, że Kurtz powrócił nad rzekę dopiero niedawno, prowadząc z sobą wszystkich wojowników tego ludu znad jeziora. Nie było go przez kilka miesięcy — pewno odgrywał rolę bóstwa — i zjawił się niespodzianie, zamierzając prawdopodobnie zrobić najazd na kraj za rzeką lub w dolnym jej biegu. Widać apetyt na kość słoniową zwyciężył w nim — jakże to nazwać? — mniej materialne dążenia. Lecz nagle bardzo mu się pogorszyło.

— Usłyszałem, że leży bez sił, więc wybrałem się tutaj, zaryzykowałem to — rzekł Rosjanin. — O, z nim jest źle, bardzo źle.

Marlow

Faktem jest, że dyrektor mówił potem, iż metody Kurtza zrujnowały cały okręg. Nie mam w tej sprawie własnego zdania, ale chcę, abyście zrozumieli dokładnie: nic nikomu właściwie nie przyszło z tych głów tkwiących na palach. Świadczyły tylko o tym, że Kurtz nie miał żadnego hamulca w nasycaniu różnych żądz, że czegoś w nim brakowało, jakiejś drobnej rzeczy, której nie można było odnaleźć pod jego wspianą wymową, gdy zaszła nagląca potrzeba. Czy wiedział sam o tym swoim braku, nie umiem powiedzieć. Myślę, że uświadomił go sobie w końcu — dopiero w samym końcu. Ale dzicz przejrzała Kurtza wcześniej i wywarła na nim straszliwą zemstę za nieprawdopodobne jego najście. Myślę, że szeptała mu rzeczy, których sam o sobie nie wiedział, rzeczy, o których nie miał pojęcia, póki mu ich nie podsunęła ta wielka samotność; a ów szept dzicy okazał się nieprzeparciem ponętny. Rozebrzmiał w Kurtzu głośnym echem, ponieważ wewnątrz jego było puste...

[...]Grupa ludzi z noszami stanęła również jak skamieniała w pół drogi do parowca. Zobaczyłem ponad barkami tragarzy wychudłego człowieka na noszach, który usiadł i podniósł ramię.

— Miejmy nadzieję, że ten, który na ogół umie mówić tak dobrze o miłości, znajdzie teraz argument, by nas ocalić — rzekłem.

Rozgoryczyła mnie idiotyczne niebezpieczeństwo naszego położenia, jak gdyby zależność od tego okrutnego widma była hańbiącą koniecznością. Nie mogłem pochwycić żadnego dźwięku, ale przez szkła widziałem chude ramię wyciągnięte władczo, widziałem, że dolna szczeka się rusza, a oczy potyskują mrocznie w głębi kościstej głowy kiwającej się w groteskowych podrzutach. Kurtz — Kurtz — to znaczy po niemiecku krótki, nieprawdaż? Otóż to nazwisko było równie prawdziwe jak wszystko inne w jego życiu i śmierci. Wydało mi się, że ten człowiek ma przynajmniej siedem stóp długości. Nakrycie opadło z jego ciała, które się wynurzyło niby ze śmiertelnej koszuli, nędzne i przerażające. Spostrzegłem, że klatka piersiowa porusza się wraz z żebrami, że widmo kiwa kośćmi ramienia. Wyglądało to, jakby rzezany w starej kości słoniowej żywy wizerunek śmierci potrząsał groźnie ręką wobec tłumu nieruchomych ludzi z ciemnego, potyskliwego brązu. Widziałem, że otwierał szeroko usta — nadawało mu to wygląd niesamowicie żarłoczny, jakby chciał połknąć całe powietrze i całą ziemię, i wszystkich ludzi przed sobą. Głęboki głos doszedł mnie słabo. Musiał widocznie krzyknąć. Wtem opadł na posłanie. Nosze wstrząsnęły się, gdy tragarze ruszyli znów naprzód, i prawie jednocześnie zauważyłem, że tłum dzikich znika bez żadnego dostrzegalnego ruchu, jak gdyby las, który raptem wyrzucił z siebie te stworzenia, wsysał je z powrotem, tak jak się wciąga powietrze w długim oddechu.

[...]A Kurtz rozprawiał Jakiż on miał głos! jaki głos! Dźwięczny, głęboki, aż do ostatniej chwili. Ten głos przeżył jego siły, aby skryć we wspaniałych zwojach elokwencji jałowy mrok jego serca. Och, jak ten człowiek walczył, jak walczył! Pustką jego zmęczonego mózgu nawiedzały teraz mgliste obrazy — obrazy bogactwa i sławy, zjawiające się na zawołanie niewygasłego daru szlachetnej i wzniosłej wymowy. Moja narzeczona, moja stacja, moja kariera, moje pomysły — na te wszystkie tematy wypowiadał od czasu do czasu różne wzniosłe sentencje. Cień dawnego Kurtza stawał u łóża płytkiego pozera, którego losem był grób w pierwotnym czarnoziemie. Lecz zarówno szatańska miłość, jak nieziemski nienawiść Kurtza do tajemnic, które przeniknął, walczyły o posiadanie jego duszy nasyczonej pierwotnymi wzruszeniami, goniącej za kłamliwą chwałą, fałszywymi zaszczytami, za wszelkim pozorem powodzenia i potęgi. Czasami był dziecinny aż do śmieszności. Pragnął, aby spotykali go na stacjach królowie, gdy będzie wracał z jakiegoś upiornego Nigdzie po dokonaniu wielkich rzeczy.

[...]Pewnego wieczoru, gdy wszedłem do Kurtza ze świecą, przestraszyłem się słysząc, że mówi trochę drżącym głosem:

— Leżę tu w ciemności i czekam na śmierć.

Światło znajdowało się o stopę od jego oczu. Zmusiłem się do szeptu: — Ale cóż znowu! — i stałem nad nim jak wrośnięty w ziemię.

Czegoś zbliżonego do zmiany, która zaszła w jego rysach, nigdy przedtem nie widziałem i mam nadzieję już nigdy nie ujrzyć. Och, nie czułem żadnego wzruszenia. Ale byłem wprost urzeczony. Zdawało mi się, że zdarto z jego twarzy zasłonę. Dostrzegłem kolejno na tym obliczu z kości słoniowej wyraz ponurej pychy, bezlitosnej siły, przeraźliwego strachu, głębokiej i beznadziejnej rozpacz. Czyżby przez tę ostatnią chwilę zupełnej samowiedzy przeżył na nowo swe życie ze wszystkimi szczegółami pragnień, pokus, poddania się? Wykrzyknął szeptem — zapewne na widok jakiegoś obrazu, jakiegoś widziadła — wykrzyknął po dwakroć szeptem, który nie był głośniejszy od tchnienia:

— Ohyda! Ohyda! **[„The horror!”]**

Zdmuchnąłem świecę i wyszedłem z kajuty.

Jednakże, jak widzicie, nie poszedłem wówczas za Kurtzem. Nie. Zostałem, by prześnić ten koszmar do końca i by raz jeszcze wykazać swą lojalność w stosunku do tego człowieka. Przeznaczenie. Moje przeznaczenie! Śmieszna to rzecz, życie — owe tajemnicze kombinacje bezlitosnej logiki dla błahego celu. Co najwyżej można się spodziewać od życia odrobiny wiedzy o sobie samym — która przychodzi za późno i jest źródłem niewyczerpanych żalów. Zmagałem się wtedy ze śmiercią[...]. Byłem o włos od owej chwili, kiedy człowiek może się wypowiedzieć po raz ostatni, i przekonałem się z upokorzeniem, że prawdopodobnie nie będę miał nic do powiedzenia. Dlatego właśnie twierdzą, iż Kurtz był wybitnym człowiekiem. On miał coś do powiedzenia. On to powiedział. Odkąd sam wyjrzałem poza krawędź, rozumiem lepiej jego wzrok, który nie mógł dostrzec płomienia świecy, lecz dość był dalekosiężny, by objąć cały wszechświat, dość przenikliwy, by przejrzeć wszystkie serca bijące w ciemności. Kurtz zsumował — osądził: „Ohyda!” Był to człowiek wybitny. Ostatecznie jego wyrok stanowił pewnego rodzaju wyznanie wiary; były w nim szczerść i przekonanie, była drgająca nuta buntu w owym szepcie, było przerażające oblicze prawdy ujrzanej w przelocie — osobliwe połączenie żądzy i nienawiści. I pamiętam najlepiej wcale nie swoją własną mękę — ową wizję bezkształtnej szarżyny, przesiąkniętej fizycznym bólem i niedbałą pogardą dla znikomości wszelkich rzeczy — nawet dla tegoż samego bólu. Nie! Mnie się wydaje, że to jego śmiertelną mękę przeżyłem. Prawda, że on zrobił ów krok ostatni, że krawędź przestąpił, podczas gdy mnie dozwolono cofnąć wahającą się stopę. I może na tym polega cała różnica; może wszystka mądrość i wszystka prawda, i wszystka szczerść skupiają się właśnie w owej nieuchwytej chwili, kiedy przekraczamy próg niewidzialnego. Może! Wolę przypuszczać, że nie byłbym zawarł swego stosunku do życia w słowie niedbałej pogardy. Lepszy jest okrzyk Kurtza — o wiele lepszy. Było to twierdzenie, moralne zwycięstwo okupione niezliczonymi klęskami, ohydny przerażeniem, ohydny dosytem. Ale to było zwycięstwo! I właśnie dlatego pozostałem wierny Kurtzowi aż do samego końca, a nawet i poza koniec; aż do chwili gdy w długi czas później usłyszałem raz jeszcze głos — już nie jego własny — lecz echo jego wspaniałej wymowy przekazane mi przez duszę przeźroczo czystą jak skała z kryształu.

[...]Myślałem, że wspomnienie o Kurtzu podobne jest do wspomnień o innych zmarłych, które gromadzą się w życiu każdego człowieka — jako niejasne odbicie w mózgu cieniów, co padły nań przelotnie a nieodwołalnie; lecz u wielkich, ciężkich podwoi, wśród wysokich domów ulicy równie cichej i porządnej jak dobrze utrzymana cmentarna aleja, ujrzałem wizję człowieka na noszach, otwierającego usta żarłocznie, jakby chciał pożreć całą ziemię wraz z całą ludzkością. Ożył w mych oazach; ożył jak najrealniej — ów cień niestety wspaniałych pozorów i straszliwej rzeczywistości; cień mroczniejszy od cieniów nocy, udrapowany okazałe w zwoje pysznej wymowy. Zdawało mi się, że ta wizja wchodzi do domu wraz ze mną: nosze, Judzie dźwigający marę, dziki tłum karnych czcicieli, mrok lasów, połysk rzeki wśród ponurych zakrętów, łoskot bębna, miarowy i głuchy jak bicie serca — serca zwycięskiej ciemności. Była to

chwila tryumfu dzicy, gwałtowne jej, mściwe najście, które — tak mi się zdawało — musiałem sam odeprzeć dla zbawienia czyjeś duszy. A wspomnienie o tym, co Kurtz mówił mi tam daleko — gdy rogate postacie poruszały się w blasku ognisk za moimi plecami, pośród cierpliwych lasów — wspomnienie owych urywanych zdań wróciło do mnie; usłyszałem znów słowa Kurtza w ich złowrogiej, przerażającej prostocie. Uprzytomniłem sobie znów nędzne jego prośby, nędzne pogroźki, olbrzymi zakres jego nikczemnych pragnień, podłość, mękę, burzliwe cierpienia jego duszy. I wydało mi się, że słyszę znów słowa, które wypowiedział kiedyś spokojnie i apatycznie:

„Ten transport kości należy w gruncie rzeczy do mnie. Towarzystwo za niego nie zapłaciło. Zebrałem go sam, narażając się na ogromne ryzyko. Obawiam się jednak, że będą się go domagali jako swojej własności. Hm. To jest trudna sprawa. Jak pan myśli, co mam robić, upierać się przy swoim? Co? Ja chcę tylko sprawiedliwości...”

Chciał tylko sprawiedliwości — nic więcej; tylko sprawiedliwości. Zadzwoiłem u mahoniowych drzwi na pierwszym piętrze i czekałem, a on zdawał się patrzeć we mnie z błyszczącej mahoniowej tafli — patrzeć tym dalekosiędnym i wszechogarniającym wzrokiem, który obejmował, nienawidził, potępiał cały świat. Wydało mi się, że słyszę, jak wykrzykuje szeptem:

„Ohyda! Ohyda!”

Naręczona Kurtza

Wskazała mi krzesło. Usiedliśmy. Położyłem paczkę delikatnie na małym stoliku, a ona nakryła ją dłonią...

— Pan go znał dobrze — szepnęła *po* chwili żalobnego milczenia.

— Ludzie tam się prędko zbliżają — rzekłem. — Znałem go o tyle, o ile człowiek może poznać drugiego człowieka.

— I podziwiał go pan — rzekła. — Nie podobna było go znać i nie podziwiać, prawda?

— Był to wybitny człowiek — rzekłem niepewnie. I zniewolony nieruchomym, wymownym jej wzrokiem, który zdawał się śledzić dalsze słowa na moich ustach, dodałem: — Nie podobna go było...

— Nie kochać — dokończyła żarliwie; oniemiałem z przerażenia. — Jaka to prawda! Jaka prawda! Ale niech pan pomyśli, że nikt go nie znał tak jak ja! Jego szlachetna dusza ufała mi bez granic. Ja go znałam najlepiej.

— Pani go znała najlepiej — powtórzyłem.

— I może tak było istotnie. Lecz z każdym wymówionym słowem pokój się stawał mroczniejszy; tylko jej czoło, gładkie i białe, jaśniało niewyczerpanym światłem wiary i miłości.

— Pan był jego przyjacielem — ciągnęła. — Przyjacielem — powtórzyła trochę głośniej. — Pan musiał być jego przyjacielem, jeśli panu to powierzył, jeśli pana do mnie przysłał. Czuję, że mogę z panem mówić — i — och, muszę z panem mówić! Chcę, aby pan — pan, który słyszał jego ostatnie słowa — wiedział, że byłam godna tego człowieka... To nie jest duma... Chociaż — tak! Jestem dumna z tej świadomości, że rozumiałam go lepiej niż ktokolwiek inny na ziemi — sam mi to powiedział. A odkąd jego matka umarła, nie mam nikogo, nikogo — aby... aby...

Słuchałem. Ciemność się pogłębiała. Nie byłem nawet pewien, czy Kurtz dał mi właściwą paczkę. Podejrzewam raczej, że chciał mi powierzyć inną plikę papierów, które widziałem po jego śmierci w rękach dyrektora przeglądającego je pod lampą. A dziewczyna mówiła dalej, dając folę swemu bólowi w przekonaniu, że jej współczuje; mówiła tak, jak człowiek spragniony pije. Wspominano mi, że jej rodzina sprzeciwiła się zaręczynom z Kurtzem. Nie był dosyć bogaty czy też coś w tym rodzaju. I rzeczywiście nie jestem pewien, czy nie cierpiała niedostatku przez całe życie. Były pewne podstawy do przypuszczenia, że miał już dosyć tej względnej biedy i że właśnie to go wyгнаło tam daleko.

—...Czy można było nie stać się jego przyjacielem, jeśli go się choć raz słyszało — ciągnęła dalej. — Pociągał ludzi ku sobie tym, co w nich było najlepsze. — Patrzyła we mnie usilnie. — To właściwość ludzi wielkich — mówiła, a jej niskiemu głosowi zdawały się towarzyszyć wszystkie dźwięki, które tam daleko słyszałem, dźwięki pełne tajemnicy, rozpaczy i smutku — szmer rzeki, szum drzew miotanych wiatrem, pomruk tłumów, słaby dźwięk niezrozumiałych, słów krzykniętych z oddali, szept głosu odzywającego się zza progu wieczystej ciemności.

— Ale pan go słyszał! Pan wie! — zawołała.

— Tak, wiem — odrzekłem, czując w sercu coś na kształt rozpaczy, lecz pochyliłem głowę przed wiarą, która była w tej dziewczynie, przed jej wielkim i zbawczym złudzeniem, błyszczącym niezmierną jasnością wśród mroku, wśród tryumfującego mroku, przed którym nie byłbym mógł jej obronić — przed którym nie mogłem obronić nawet samego siebie.

— Co za strata dla mnie... dla nas! — poprawiła się ze szlachetną wspaniałomyślnością, po czym dodała szeptem: — Dla świata.

W ostatnich przeblysłkach mierzchnącego dnia widziałem blask jej oczu pełnych łez — łez, które spłynąć nie chciały.

— Byłam bardzo szczęśliwa... bardzo hojnie obdarowana przez los... bardzo dumna — mówiła dalej. — Zbyt hojnie obdarowana. Zbyt szczęśliwa przez krótką chwilę. A teraz jestem nieszczęśliwa... na całe życie.

Podniosła się; jasne jej włosy zdawały się chwytać wszystko pozostałe światło i lśnić złotem. Wstałem także.

— A z tego wszystkiego — ciągnęła żałośnie — ze wszystkiego, co zapowiadał, z całej jego wielkości, z jego wspaniałomyślnej duszy, jego szlachetnego serca nie zostało nic — nic prócz wspomnienia. Pan i ja...

— Będziemy go zawsze pamiętać — rzekłem pospiesznie.

— Nie! — krzyknęła. — Nie podobna, aby to wszystko przepadło — aby takie życie zostało poświęcone, nie zostawiając po sobie nic prócz bólu. Pan wie, jakie rozległe miał plany. Wiedziałam o nich także — nie mogłam ich może zrozumieć — ale inni o nich wiedzieli. Coś musi pozostać. Jego słowa przynajmniej nie umarły.

— Jego słowa pozostaną — rzekłem.

— I jego przykład — szepnęła do siebie. — Ludzie podziwiali go, dobroć jego jaśniała w każdym czynie. Jego przykład...

— To prawda — rzekłem. — Został też jego przykład. Tak, jego przykład. Zapomniałem o tym.

— Ale ja nie zapominam. Nie mogę — nie mogę uwierzyć — jeszcze nie mogę. Nie mogę uwierzyć, że nigdy go już nie zobaczę, że nikt go już nie zobaczy — nigdy, nigdy, nigdy.

Wyciągnęła ramiona jakby za cofającą się postacią, wyciągnęła czarne ramiona ze splecionymi białymi dłońmi na tle światła mierzchnącego w wąskich oknach. Nigdy go już nie zobaczy. A ja widziałem go jednak wyraźnie. Będę widział to wymowne widmo, póki

żyć i ją będę widział także jako tragiczny i bliski Cię — podobny w tym geście do innego Cienia — również tragicznego, co pokryty bezsilnymi amuletami wyciągnął nagie, brunatne ramiona nad połyskliwą, piekielną rzeką, rzeką mroku. Odezwała się nagle bardzo cicho:

— Umarł, jak żył.

— Jego śmierć — rzekłem czując, że wzbiera we mnie głuchy gniew — była pod każdym względem godna jego życia.

— A mnie przy nim nie było — szepnęła. Gniew mój ustąpił uczuciu niezmiernej litości,

— Wszystko, co tylko dało się zrobić... — mruknąłem.

— Ach, ale ja w niego wierzyłam więcej niż ktokolwiek na ziemi — więcej niż jego własna matka, więcej niż... on sam. Potrzebował mnie! Mnie! Była- bym przechowała każde jego westchnienie, każde słowo, każdy znak, każde spojrzenie.

Poczułem jakby zimny wcisk na piersi.

— Niech pani przestanie — rzekłem stłumionym głosem.

— Przepraszam pana. Ja... ja tak długo optakiwałam go w milczeniu — w milczeniu... Pan z nam był — do ostatka? Myślę o jego samotności. Nie miał przy sobie nikogo, kto by go rozumiał tak, jak ja go rozumiałam. Może nie było nikogo, kto by usłyszał...

— Byłem przy nim aż do ostatniej chwili — rzekłem drżącym głosem. — Słyszałem jego ostatnie słowa... — Zamilkłem, przerażony.

— Niech pan mi je powtórzy — szepnęła rozdierająco. — Potrzebuję — potrzebuję — czegoś — aby — aby — z tym żyć.

O mało co jej nie krzyknąłem: czyż pani tych słów nie słyszy? Zmierch powtarzał je naokoło uporczywym szeptem, szeptem, który zdawał się wzbierać groźnie jak szmer zrywającego się wiatru: „Ohyda! Ohyda!”

— Ostatnie jego słowa... abym miała z czym żyć — prosiła. — Czy pan nie rozumie, że ja go kochałam — kochałam — kochałam!

Opanowałem się i wyrzekłem powoli:

— Ostatni wyraz, jaki wymówił, to było — pani imię.

Marlow

Zrozumcie, że nie staram się nikogo usprawiedliwiać ani nawet tłumaczyć — staram się tylko zdać sobie sprawę z... z... Kurtza — z cienia Kurtza. Ten wtajemniczony duch, który przyszedł z głębi nicości, zaszczycił mnie zdumiewającą ufnością przed swym ostatecznym zniknięciem. A to z tego powodu, że mógł mówić ze mną po angielsku. Dawny, realny Kurtz kształcił się częściowo w Anglii i — jak sam łaskawie oświadczył — sympatie jego leżały po właściwej stronie. Matka jego była na wpół Angielką, ojciec — na wpół Francuzem. Cała Europa złożyła się na Kurtza; i dowiedziałem się z czasem, że Międzynarodowe Towarzystwo Tępienia Dzikich Obyczajów powierzyło mu opracowanie referatu jako wytycznej dla tegoż towarzystwa. A Kurtz ten referat napisał. Widziałem go. Czytałem. Był wymowny, tętniący wymową, lecz nastrojony na zbyt wysoką nutę, jak mi się zdaje. Kurtz znalazł czas, by zapisać gęstym piśmem całych siedemnaście stron! Ale to było zapewne wtedy, nim jego — powiedzmy — nerwy się rozkleiły, i to sprawiła, że przewodniczył o północy pewnym tańcom, kończącym się obrzędami, o których mówić nie sposób i które — o ile mogłem wywnioskować z odrazą z tego, co słyszałem — odbywały się na jego cześć — rozumiecie? — na cześć Kurtza we własnej osobie. Ale raport był świetną próbką prozy. Tylko że pierwszy jego paragraf wydaje mi się teraz złowróżbny w świetle późniejszych informacji. Zaczynał się od dowodzenia, że my, biali, na osiągniętym przez nas szczeblu rozwoju musimy z natury rzeczy wydawać się im (dzikim) istotami nadnaturalnymi — zbliżamy się do nich z potęgą, jak gdyby bóstwa" — i tak dalej, i tak dalej. „Przez prosty wysiłek woli możemy rozwinąć dodatnią działalność o potężne istic nieograniczonej", itd. itd. Od tego punktu wznosił się coraz wyżej i unosił mnie z sobą. Perora była wspaniała, choć, wiecie, trudna do zapamiętania. Wywołała we mnie obraz jakiegoś egzotycznego Bezmiaru rządzonego przez wzniosłą Dobrotliwość. Porwał mię zapal. Był to skutek bezgranicznej potęgi wymowy — słów — płomiennych, szlachetnych słów. Żadne praktyczne wskazówki nie przerywały magicznego toku zdań, chyba że uznamy za rozwinięcie metody coś w rodzaju notatki przy końcu ostatniej strony, notatka nagryzmołonej niepewną ręką snadź znacznie później. Była bardzo prosta, i u końca tego wzruszającego wezwania do wszelkich altruistycznych uczuć gorzała, jaśniejąca i przeraźliwa jak błyskawica wśród pogodnego nieba: „Wytepić wszystkie te bestie!” Co ciekawe, Kurtz zapomniał widać zupełnie o swym cennym postscriptum, gdyż później, kiedy w pewnej mierze przyszedł do siebie, błagał mię raz po raz, abym przechował starannie jego „broszurkę" (jak mówił); nie wątpił widać, że ów referat wywrze w przyszłości dodatni wpływ na jego karierę. Byłem dokładnie poinformowany o wszystkich tych sprawach, a przy tym tak się złożyło, że musiałem się zaopiekować dobrą sławą Kurtza po jego śmierci. Zrobiłem tyle dla jego opinii, że uzyskałem, niezaprzeczone prawo złożenia jej — gdybym miał wolny wybór — na wieczny spoczynek między odpadkami postępu, wśród wszelkiego śmiecia i, mówiąc w przenośni, wszelkiej padliny cywilizacji. Tylko że, widzicie, nie mam wolnego wyboru. Kurtz nie pozwalała o sobie zapomnieć. Mimo wszystko nie był to człowiek pospolity. Miał władzę pociągania za sobą pierwotnych dusz — przez swój czar czy też grozę — w straszliwy, szatański taniec na własną cześć; potrafił napełniać gorzkimi obawami małe duszyczki pielgrzymów; miał co najmniej jednego oddanego przyjaciela i zdobył na tym świecie duszę, która nie była ani pierwotna, ani zatruta sobkostwem. Nie; nie mogę o nim zapomnieć, chociaż nie twierdziłbym, że wart był istotnie ludzkiego życia, któreśmy stracili docierając do stacji. Brakowało mi strasznie zabitego sternika —

O tak, nasłuchiwałem się Kurtza aż do przesyty. I okazało się, że moje pojęcie o nim było słuszne. Głos. Kurtz był już prawie tylko głosem. I słuchałem go — tego głosu — innych głosów — wszyscy byli prawie że tylko głosami — i nawet wspomnienia o tamtych czasach błakają się koło mnie — nieuchwytnie — jak zamierająca wibracja jakiejś nieskończonej paplaniny, głupiej, okrutnej, plugawej, dzikiej lub po prostu pospolitej, pozbawionej wszelkiego sensu. Głosy, głosy — nawet i ta dziewczyna... Otóż — Milczał długi czas. — Odzegnałem się w końcu kłamstwem od wizji jego talentów — zaczął nagle. — Dziewczyna! Co? Wspomniałem o dziewczynie? Och, ona jest poza tym — najzupełniej! One — mam na myśli kobiety — są poza tym — i tak być powinno. Musimy im pomagać, aby mogły pozostać w tym swoim pięknym świecie, bo inaczej nasz świat stałby się jeszcze gorszy. Och, ona musiała być poza tym wszystkim. Trzeba wam było słyszeć, jak wyciągnięte z grobu ciało Kurtza mówiło: „moja narzeczona". Bylibyście zrozumieli natychmiast, jak dalece ona była poza tym. A to wyniosłe czoło Kurtza! Mówią, że włosy rosną i potem, ale ten — hm — okaz był wybitnie łysy. Dzicz poklepała go po głowie i oto głowa ta stała się podobna do kuli, do kuli z kości słoniowej; dzicz popieściła go — i oto zwiądl; zagarnęła go, pokochała, otoczyła ramionami, przeniknęła mu do żył, pożarła ciało i przykuła jego duszę do swojej przez niepojęty rytuał jakiegoś szatańskiego wtajemniczenia. Stał się jej rozpieszczonym i zepsutym ulubieńcem. Kość słoniowa? Oczywiście! Całe kupy, całe sterty kości słoniowej. Stara szopa z mułu była nią przepelniona. Mogło się zdawać, że ani jeden kieł nie pozostał na ziemi czy pod ziemią w całym kraju. „Przeważnie kopalna" — zauważył pogardliwie dyrektor. Była równie kopalna jak i ja jestem kopalny; tak nazywają kość słoniową wydobytą z ziemi. Okazuje się, że Murzyni

niekiedy zakapują kły, ale najwidoczniej nie umieli zakopać tej partii tak głęboko, aby uchronić utalentowanego Kurtza przed jego przeznaczeniem. Zapelniliśmy klami parowiec i jeszcze musieliśmy ułożyć cały ich stos na pokładzie. Toteż Kurtz mógł patrzeć na nie i cieszyć się nimi, póki żył jeszcze, gdyż oceniał ten dar losu aż do końca. Trzeba go było słyszeć, jak mówił: „moja kość słoniowa”. O tak, słyszałem go. „Moja narzeczona, moja kość słoniowa, moja stacja, moja rzeka, moje...”, wszystko należało do niego. Powstrzymywałem oddech spodziewając się, że puszczą wybuchnie szalonym śmiechem, od którego gwiazdy zadrżą w posadach. Wszystko należało do niego — ale to drobnostka. Trzeba było przede wszystkim ustalić, do kogo on należał, ile ciemnych potęg uważało go za swoją własność. Skóra cierpła na człowieku, kiedy się o tym myślało. Nie można sobie było tego wystawić — i nawet było lepiej nie zastanawiać się nad tym. Kurtz zajął wysokie miejsce wśród szatanów tego kraju — mówię to dosłownie.

Nie możecie tego zrozumieć! I cóż dziwnego? Macie pod nogami solidny bruk, otaczają was życzliwi sąsiedzi, którzy gotowi są dodać wam ducha albo rzucić się na was, kroczyście sobie ostrożnie między rzeźnikiem a policjantem, przejęci zbawiennym strachem przed skandalem i szubienicą, i zakładem dla obłąkanych — więc jakże byście mogli sobie wyobrazić owe szczególne krainy pradawnych wieków, dokąd nieskrępowane kroki mogą człowieka zaprowadzić przez samotność — zupełną samotność, bez policjanta — przez milczenie — zupełne milczenie, w którym się nie rozlegnie żaden głos dobrotliwego sąsiada, szepczącego o opinii publicznej. Te wszystkie drobne rzeczy składają się na wielką różnicę. Kiedy ich zbraknie, musi się człowiek oprzeć na własnej, wrodzonej sile, na swojej własnej prawości. Można być oczywiście zbyt wielkim głupcem, aby zejść z prostej drogi, zbyt tępym, by nawet wiedzieć, że się jest napastowanym przez mroczne potęgi. Twierdzą, iż żaden głupiec nie sprzedał nigdy diabłu swej duszy; może głupiec jest na to za głupi, a może diabeł zbyt diabelski — nie umiem tego powiedzieć. Zdarzają się też czasem tak wściekle podniosłe istoty, że są najzupełniej głuche i ślepe na wszystko prócz niebiańskich widzeń i dźwięków. Dla nich ziemia jest tylko miejscem postoju — a czy taka natura jest dla człowieka stratą, czy zyskiem, nie podejmę się rozstrzygnąć. Ale większość z nas nie należy ani do jednego, ani do drugiego z tych typów. Ziemia jest dla nas miejscem, gdzie żyjemy, gdzie musimy znosić różne widoki, dźwięki, a także i zapachy, dalebóg! oddychać wonią zdechłego hipopotama, że się tak wyrażę, a jednak się nie zatruc. Właśnie tutaj — rozumiecie mnie? — wchodzi w grę siła człowieka — wiara w swoją umiejętność dyskretnego kopania dołów, w których się zagrzebuje różne odpadki — zdolność do oddania się nie własnemu celowi, ale jakiejś sprawie bynajmniej nie rozgłosnej, przygniatającej swoim ciężarem. A to jest dosyć trudne.